

W Colombo i na jego przedmieściach można doliczyć się pięciu uniwersytetów, nie licząc innych uczelni wyższych, takich jak politechniki i akademie medyczne etc. Do tej pory odwiedziłem kilkakrotnie Uniwersytet Estetyczny, znajdujący się w pobliżu Colombo University. Obie uczelnie znajdują się w samym centrum Colombo, niedaleko ratusza. Tym niemniej wszyscy moi znajomi poza Tushitą związani byli z Uniwersytetem Kelaniya, usytuowanym na przedmieściu o tej nazwie, położonym na północny wschód od granic stolicy Lanki. Nalin już od dawna pragnął mnie zaciągnąć na swoją uczelnię, z którą był związany jak kibic ze swoją ulubioną drużyną krykieta. To tam działali od dziesięciu lat Academic Players, których mój przyjaciel był w roku 2010 prezydentem. Jak się też wydaje, Uniwersytet Kelaniya ma największe zasługi i doświadczenie w dziedzinie lankijskiej sztuki. Większość lankijskich publikacji na temat malarstwa, muzyki, filmu, teatru etc. wyszła z tej uczelni.



Aby tam się udać musieliśmy uczynić coś, czego bardzo nie lubię, czyli wstać bardzo wcześnie. W przypadku moich lankijskich przyjaciół owo witanie się z cudowną aurą tropikalnego przedświtu ma w sobie akcent surrealistyczny. Budzimy się oto zupełnie nieprzytomni, po czym wszyscy (poza mną, pijących w milczeniu herbatę) zagadują wszystkich, również za pomocą telefonów komórkowych. W ten sposób z piątej nad ranem robi się zupełnie normalna godzina dziewiąta. Tak było i tym razem. Po czym, zamiast ruszyć bezpośrednio na uniwersytet, Nalin poszedł do banku, doładowaliśmy telefony i spędziliśmy sporo czasu w sklepie papierniczym, gdzie przez dwa kwadransy mój przyjaciel wybierał notes, aby zapisać w nim swoje projekty, których dat nie mógł w żaden sposób ze sobą pogodzić. Jak na osobę, która przez dobre kilkanaście dni nie mogła spać dłużej niż pięć godzin na dobę, byłem bardzo po indyjsku pogodzony ze swoją karmą. W mojej sennej głowie krążyły tylko wszelkiej maści rydwany z Ardżunami, Krisznanami i słokami Bhagawadgit. Nie było to męczące, w końcu to piękna poezja epicka... Pomstowałem jedynie na sam sklepik, który zwał się księgarnią, a zawierał tylko kredki, gumki, piórniki i trochę podręczników. Ciężko znaleźć w Colombo prawdziwą księgarnię. Istnieją one chyba tylko w paru dzielnicach, takich jak Pettah (gdzie skupia się tamilska mniejszość) i znana nam już Maradana.

Wreszcie doszliśmy do końca przedmieścia Kotikawatta i wsiedliśmy do autobusu. Był to Lanka Ashok Leyland, marka jeszcze popularniejsza na wyspie od Taty, choć podejrzewam, iż jest ona również własnością indyjskiego giganta. Autobusy LAL są jeszcze mniejsze i wolniejsze od lankijskich wersji Taty. Są na swój sposób doskonale dostosowane do realiów wyspy. Najnowsze z nich wyglądają jak Tata, natomiast najstarsze przypominają dziwaczne klocki z niedbale wyciętymi otworami na koła. Jak tłumaczyli mi nieraz moi znajomi, na Lance brakuje autobusów i trzeba sobie jakoś radzić. Po raz pierwszy

pojechaliśmy linią nie zahaczającą o centrum, dzięki czemu miałem okazję zobaczyć kilka zakładów przemysłowych, hurtowni, składów etc. Wyglądały bardzo przyzwoicie. Wysiedliśmy przy jakiejś sporej jak na Lankę drodze chwiejącej się przed moimi oczami od żaru. Tam zmieniliśmy autobus. Wiele przystanków na wyspie nie jest w żaden sposób zaznaczonych. W zależności od ilości klientów, kierowcy albo zatrzymują się gdzie bądź, albo przestrzegają miejsc postoju, o których to miejscach trzeba po prostu wiedzieć. Pojazd przywołuje się pokazując przed nim ziemię wyciągniętym ramieniem. Gdy już stanie, albo po prostu zwolni, wskakuje się przez pozbawione drzwi wejścia. Bileterzy zwykle podchodzą do pasażerów, nie trzeba ich szukać. Jedni prowadzą zeszyty, z których wrywają kupony z zapisaną kwotą biletu. Inni po prostu pamiętają pasażerów i pomimo tłumów, nigdy się nie mylą.

Po przejechaniu paru kilometrów urozmaiconych malowniczą przeprawą przez rzekę (czyli „gangę”) Kelani, dotarliśmy do Kelaniya University. Jego budynki znajdowały się na wzgórzu. Szczyt zajęty był przez placyk z posągami Buddy i obowiązkowym figowcem. Na terenach uniwersyteckich rosło wiele zieleni. Dowiedziałem się, że spora część pięknych drzew rodziła owoce mango. Nie znalazłem jednak żadnego, ale nie z uwagi na zgłodniałych studentów, lecz nie ten co trzeba okres roku. Podobnie jak w Indiach na drogach dojściowych do gmachów uniwersytetu rozstawiali się sprzedawcy skryptów ułatwiających przyswajanie zadawanego od lat materiału. Nalin kupił jednak pełnowartościową książkę o estetyce teatru, z obrazem Rubensa na okładce. Oprócz studentów obojga płci ubranych przeważnie po europejsku po drogach kręcili się też mnisi buddyjscy. Dowiedziałem się, że są to zarówno studenci, jak i wykładowcy. Było ich całkiem dużo.

Nalin będąc aktywistą znał niemal wszystkich mijanych studentów, zatem co rusz się zatrzymywaliśmy, by zamienić kilka słów z przechodzącymi. Wreszcie jednak weszliśmy do sektora, gdzie znajdowały się wydziały teatralne i filmowe. Te

ostatnie miały swoje uzupełnienie w Państwowej Wytwórni Filmowej, która znajdowała się u podnóża uniwersyteckiego wzgórza po stronie południowej. Dalej była stara część miejscowości Kelaniya usytuowana nad rzeką Kelani. Budynki wydziału sztuk scenicznych, podobnie jak Uniwersytet Estetyczny Tushity, też znajdowały się w stanie budowy i przebudowy. Co ciekawe, po drodze minęliśmy wydział buddyjski. Zdziwiło mnie to, gdyż jak tłumaczył mi Nalin, mnisi studiują różne kierunki, ale oczywiście nie zdarza się, aby wybierali teatr. Wejście na wydział teatralny zostało zablokowane przez robotników, musieliśmy zatem wejść szerokimi zewnętrznymi schodami na rodzaj dziedzińca – platformy i z niego skierowaliśmy się do wnętrza. Tam od razu wylądowałem w pokoju wykładowców. Dwie osoby znałem już ze ślubu w Chilaw. Była panna młoda, którą nie od razu poznałem, gdyż w zwykłym ubraniu wyglądała znacznie piękniej niż w kreacji weselnej. Chodziło chyba o przesadny makijaż na twarzy jaki zrobiono jej na potrzeby przyjęcia weselnego. Drugą osobą był Lukhneel, z którym szczególnie wiele rozmawiałem w Chilaw i w drodze do Colombo. Obydwoje wykładali filmoznawstwo. Lukhneel był też cenionym krytykiem filmowym, jego główny temat badań stanowiła zaś estetyka kina. Rozmawialiśmy czas jakiś i dowiedziałem się, iż z kina polskiego, podobnie jak większość zainteresowanych Lankijczyków, zna przede wszystkim Kieślowskiego i Polańskiego. Poza tym z Indii cenił Deepę Mehtę, z Japonii Akiro Kurosawę, z Ameryki Dawida Lyncha. Największą atencją darzył jednakże kino irańskie.

W pokoju wykładowców znajdowały się liczne nagrody krajowe i zagraniczne przyznane głównie Akademic Players. Poza tym mogłem podziwiać tradycyjne maski lankijskie, przedstawiające demony i rozmaitych bohaterów. Zrobione z drewna i pomalowane na jaskrawe kolory prezentowały się bardzo interesująco. Vesmoona, maski świąteczne używane były w tradycyjnym teatrze Kolam, który rozkwitał szczególnie obficie w miejscowości Ambalangoda, usytuowanej nad oceanem, 70 kilometrów na południe od Colombo. Dramat ten wyrastał z ceremonii

buddyjskich Shantikarma, mających znaczenie lecznicze. Przejął on pewne elementy z indyjskiego Baliwała, przyniesionego przez karnatyckich najeźdźców. Kolam używa nadal tradycyjnej muzyki lankijskiej i stanowi ona główny klasyczny styl tutejszej muzyki, używający bardzo złożonych rytmów rodzimych bębnów i lokalnego instrumentu stroikowego zwanego Horenawe. Zdobyłem nagrania tej muzyki od Tushity. Interesujące były rzeczywiście złożone rytmy, przechodzące w siebie w niezwykle buddyjski, jakby trochę antymuzyczny sposób. Gdy pojawiał się Horenawe stawały się one nieco prostsze. W niektórych kompozycjach słychać było wyraźne wpływy karnatyckie lub portugalskie. Od strony wykonawczej nagrania od Tushity były średnio satysfakcjonujące, zwłaszcza w porównaniu z indyjskimi geniuszami rytmu. Wykonawcy lankijscy wyraźnie nie umieli wykorzystać barw swoich instrumentów, starali się tylko w miarę poprawnie wybijać trudny rytm. Ciężko się jednak dziwić tym niedostatkom. W Indiach żyje miliard ludzi, na Lance dwadzieścia milionów. Do tego wyspiarscy muzycy wybierają pomiędzy swoją tradycją, a Zachodnią, północnoindyjską i południowoindyjską. Samym Kolam zajmuje się więc promil syngaleskich muzyków, choć każdy student muzyki ma obowiązkowe zajęcia dotyczące rodzimej tradycji.



Po zapoznaniu się z maskami, Lukhneel pokazał mi gabinet studiów klasycznych, zawieszony plakatami ukazującymi Starożytną Grecję i Rzym, oraz wybitnych rzeźbiarzy, filozofów, oraz dramaturgów. W sercu gabinetu, za szybami, siedziała stara pani profesor i przepytowała swoją doktorantkę. Wyglądała na osobę niezwykle ważną na uniwersytecie, przestałem się więc dziwić aż tak dużej ilości klasyki w repertuarze Akademic Players. Swoją drogą, piękne plakaty ukazujące Prasadini jako Antygonę można było znaleźć w wielu miejscach wydziału. Świadczyły one o tym, iż tutejszy departament fotografii kształci znakomitych specjalistów. Miałem okazję widzieć Prasadini skutą łańcuchami, zapłakaną, krzyczącą na Kreona, agitującą w tłumie ludzi etc.

Kolejnym przystankiem w mojej uniwersyteckiej wycieczce był ogród pełen wielkich drzew. Lukhneel z wyraźną dumą spojrział

na to przyjemne miejsce. W kantynie dla wykładowców, przy pysznej herbacie i „czymś co nie jest ryżem” dowiedziałem się, iż mój rozmówca pochodzi z Kandy, z którego to uniwersytetem był do niedawna związany. Do Kelaniya przeszedł trzy lata temu. Uśmiechnąłem się słysząc znów nazwę ostatniej stolicy niepodległych Syngalezów, jeśli nie liczyć czasów powojennych. Z pewnością jest to miejsce godne zobaczenia!

Okazało się, że owego dnia uniwersytet był cokolwiek opustoszały. Wróciłem zatem do Nalina i powędrowaliśmy do siedziby Academic Players, wpierw natykając się na studentów czegoś tak egzotycznego, jak język niemiecki. Na próżno starałem się od nich dowiedzieć, czemu sięgnęli po tak niecodzienny przedmiot. Zamiast mi odpowiedzieć, zachęcali mnie do zapoznania się z rdzennymi lankijskimi tradycjami muzycznymi. Szczególnie im leżały na sercu pieśni rybackie, lecz Nalin kategorycznie przeczył, jakoby takie w ogóle istniały. Patrzyłem na niego trochę nieufnie. Kto wie, może owe pieśni stanowią sekret ludzi morza?

Siedziba Academic Players znajdowała się w odległości pięciu minut marszu od wydziałów teatralnych. Po drodze minęliśmy wydział nauk ścisłych, co wskazywało na to, iż cały, lub prawie cały Uniwersytet Kelaniya mieści się na tym obszarze i nie jest to przy tym ośrodek bardzo wielki. Doszliśmy do wielkiej sali służącej za największe uniwersyteckie audytorium. Służyła ona też do wystawiania sztuk. Nie wydawała się dobrze do tego dostosowana, gdyż nakrywał ją niski dach i nie miała żadnego spadku. Lecz Nalin wspominał mi też o amfiteatrze, z którego uczelnia jest dumna. Siedziba Academic Players zajmowała pomieszczenia na końcu budynku audytorium. Były to dwa zwykłe pomieszczenia, oraz dość spora sala o posadzkach umieszczonych kilka metrów niżej niż poziom audytorium. Przed wejściem do niej ściągało się buty. Przy jej ścianach stały starannie ustawione dekoracje do siedmiu sztuk będących obecnie najczęściej granymi przez Akademików. Widziałem zatem rozłożone na części pierwsze

fragmenty sceny Agamemnona, Króla Edypa, Antygony, Skrzypka na dachu, jakiejś sztuki Garcii Lorki oraz inne, trudniejsze do rozpoznania. Co ciekawe, rzucająca się w oczy kopia kariatydy z ateńskiego Partenonu należała do dekoracji związanych z pierwszą produkcją Akademic Players, sprzed 10 lat i nie będącej sztuką antyczną. Wróciliśmy do górnych pomieszczeń, gdzie trzy młode studentki starały się dokończyć zadanie zadane im przez seniorów Akademic Players. Swoją drogą widziałem w różnych miejscach kompleksu nieco przestraszonych studentów pierwszego roku różnych wydziałów. Nalin wyjaśnił mi, iż wciąż poddawani są oni otrzęsinom. Młode członkinie Akademic Players wyglądały na nieco mniej sterroryzowane. Ta z nich, która posiadała najdłuższe włosy, sięgające tym razem do pięt, słuchała swojego szefa czesząc się jednocześnie, co wymagało przesunięcia stołu i kilku krzeseł. W ramach otrzęsin Nalin zmusił je do zrobienia mi herbaty, o co bardzo dbał od czasu, gdy rozbawiłem go moją gorącą miłością do tego głównego towaru eksportowego Sri Lanki. Po chwili dziewczyny wyszły, zaś mój przyjaciel zajął się wypełnianiem swojego notesu, z takim trudem rano nabytego.

Po godzinie nadeszła pora, aby coś zjeść. Udaliśmy się zatem poza uniwersytet, gdyż Nalin uznał, iż musimy zaznać jakiejś kulinarnej odmiany. Po drodze minęliśmy wielkie boisko, na którym zaczął się już mecz krykieta (oczywiście). Mój przyjaciel pokazał mi schodki wiodące na położoną nisko w dole murawę. To na nich właśnie wyznali sobie swe uczucia z Takshilą. Patrząc na owo romantyczne miejsce, doszedłem do wniosku, iż mieli na to sporo czasu. Mecze krykieta trwają zdaje się od pięciu godzin do ośmiu. Dlatego na przykład transmisje telewizyjne zaczynają się o drugiej po południu. W porze największej oglądalności, czyli o ósmej, mecz staje się szczególnie dramatyczny... Ponoć część członków światowej organizacji krykieta (piszę z małej, bo nie wiem jak się to ciało zwie dokładnie) nalega na wprowadzenie w życie zreformowanego, trzygodzinnego krykieta. Moim zdaniem słusznie, gdyż w trakcie pucharów krykieta każda inna



aktywność całkowicie zamiera (w tym projektowany na koniec lutego przez Kowshalyę i Nalina festiwal teatralny).

Odmianę w codziennym menu (ryż i curry) zapewniła nam położona jakieś trzysta metrów od jednego z wejść na kompleks uniwersytecki restauracja „Lintze”. Dowiedziałem się od Nalina, iż jest to popularne miejsce wśród studentów, którzy chcą raz na jakiś czas zaszaleć. On również starał się tam wybrać raz na miesiąc z Takshilą. Dania były tylko dwa razy droższe niż przeciętnie, nie zaś siedmiokrotnie, jak w zdzieralniach dla turystów. Nie wiem, czy były dobre. Nalin wziął sobie dla odmiany ryż i curry, ja rozumiałem owo słowo nieco inaczej, wziąłem więc rosół (jak już pisałem, nie stać mnie było na wegetarianizm na Sri Lance). Był biały, blade kawałki kurczaka mieszały się w nim z białymi wstęgami jajecznego białka. Nie było w nim żadnych warzyw etc. Wydaje się, że składniki były bardzo świeże. Natomiast sok mango z lodami był przepyszny.

Jako, że „Lintze” nie miała herbaty (co każe mi wątpić w jej klasę), udaliśmy się do kantyny dla studentów. Była to przeogromna sala, gdzie przy jednej ze ścian przykucnął punkt kserograficzny działający na numerki. Nie on jednak przykuł moją uwagę. Na jednej z długich ścian pomieszczenia, na górze, wisiały wielkie portrety, z których część mogliśmy często spotkać w naszym kraju ponad 20 lat temu. Zdumiony ujrzałem wielkie oblicza Lenina, Marksa, Engelsa, a także Fidela Castro, Mao i Che Guevary. Sri Lanka jest krajem kapitalistycznym, dążącym obecnie do uczynienia buddyzmu religią państwową. Kelaniya, pełen buddyjskich mnichów, należy do grona najważniejszych uczelni kraju. Jak się jednak dowiedziałem później od Tushity, wielu mnichów ma wyraźnie lewicowe sympatie. Niektórzy z nich podziwiają nawet postać Mao, odcinając się w ten sposób od opinii lamaistycznych buddystów. Dla nich stary buddyzm Terawady stanowi w oczywisty sposób filozofię ateistyczną, a nawet materialistyczną, podczas gdy tantryczny buddyzm Tybetu wydaje im się

narkotyczną religią. Popularność Mao wypływa też z dobrych relacji wyspy z Chinami. Sri Lanka nie ma zbyt wielu udanych międzynarodowych sojuszy. Indie ze swoją niezręczną polityką zagraniczną nakazywały jedynie Lankijczykom, co mają robić. Wspierały wprawdzie syngaleską większość przeciw tamilskiej mniejszości, bojąc się tamilskiego separatyzmu u siebie, lecz interwencje ich armii budziły ogromne kontrowersje nawet u Syngalezów. Romantyczna legenda Che ma z kolei dostęp do wielu młodych lankijskich serc, co absolutnie nie dziwi w skorumpowanym, oligarchicznym państwie. Fidel Castro, jak przypuszczam, został powieszony wśród innych właśnie z uwagi na Che. Marks i Engels, podobnie jak i gdzie indziej, zostali wymienieni ikonograficznie z uwagi na stworzenie teoretycznej bazy dla rewolucjonistów. Dlaczego był też Lenin, tego nie wiem. Być może pewnym wyjaśnieniem jest potężna, warowna i posępna ambasada USA na Sri Lance.

Po zapoznaniu się z niezwykłą kantyną nie pozostało nam nic innego, jak czekać na uniwersytecki autobus mający nas zawieźć na przedstawienie „Smok” w Tower Theatre położonym nieopodal Elphinstone Theatre i mającym obecnie ten sam zarząd łącznie z jeszcze jedną wśród licznych scen Colombo. Czas oczekiwania Nalin spędził na planowaniu festiwalu wraz z pierwszorocznymi studentkami. Jak się później okazało, przez połowę tego czasu plotkowali o wykładowcach. Od tej pory patrzę na Nalina z nieco mniejszą atencją, gdy wraca wieczorem z uczelni mówiąc iż miał „ciężki dzień”... Tym niemniej dostaje on coraz więcej odpowiedzialnych ról już w zupełnie profesjonalnych teatrach, więc zapewne, jak wielu artystom, zdarzają mu się okresy bardzo intensywnej pracy, przedzielone „ciężkimi dniami”.

W znajomym japońskim autobusie zgromadzili się tym razem głównie młodzi studenci, a raczej studentki. Pojechaliśmy do dzielnicy Maradana. Gdy wysiedliśmy przed Tower Theatre, dowiedzieliśmy się, iż wystawiane jest właśnie ciało zmarłego wykładowcy fotografii. Postanowiono zatem uczcić jego pamięć udając się do zakładu pogrzebowego. Jak się okazało, autobus

uniwersytecki nie mógł nas zawieźć w to miejsce, więc musieliśmy się tam udać miejską komunikacją. Z zafascynowaniem patrzyłem na studentki eskortowane przez starszych stażem kolegów jak dziewczynki z przedszkola. Było to chyba normalne, gdyż żadna z nich nie protestowała. Rozpadał się deszcz, co jeszcze bardziej skomplikowało tę dziwną logistykę. Jak się okazało, bileterzy autobusów, dbający o to, by mieć jak najwięcej klientów nie zależnie od stopnia zapchania pojazdu tym razem nie byli w stanie skłonić kierowców, aby czekali na tyle długo, by cała grupa mogła wsiąść. Nie mogłem się powstrzymać od ironicznych komentarzy dotyczących ekstremalnie wolnych lankijskich pojazdów, które spieszą się tylko wtedy, gdy rzeczywiście nie trzeba. W końcu dotarliśmy przez szare od chmur ulice do zakładu pogrzebowego. To nieoczekiwane zetknięcie się ze śmiercią wstrząsnęło niektórymi z nas. W pomieszczeniu znajdowała się wyglądająca zupełnie po chrześcijańsku trumna, choć nad nią wznosiło się koło dharmy i cztery atrapy kłów słonia świadczące o buddyjsko – syngaleskiej proveniencji zmarłego. Przed zakładem zgromadzone były liczne krzesła, na których należało usiąść po zobaczeniu ciała. To, aby wszyscy usiedli i poczęstowali się symbolicznym ciasteczkami, okazało się niezwykle ważne, więc czekaliśmy jeszcze czas jakiś, aby doniesiono odpowiednią ilość siedzisk. Postanowiłem nie podchodzić do trumny, jako, że kompletnie nie znałem zmarłego, ani nie byłem z nim w żaden sposób zawodowo związany, i uważałem, iż w związku z tym nie powinienem tego robić. W pewnym momencie nieoceniony Nalin zdobył dla mnie przepyszna herbatę w pięknej filiżance, co jak każdy chyba przyzna, było niezwykle miłym gestem. Jeśli chodzi o studentów, to niektórzy stali się bardzo poważni, inni zaś dyskutowali i śmiali się w najlepsze. Stosunkowo luźna atmosfera jest chyba dość typowa dla lankijskich pogrzebów. Nieraz zdarzyło mi się widzieć orszak pogrzebowy niosący trumnę przez niespokojne ulice Colombo. Przodem jechał karawan, za nim szli mężczyźni z rodziny dźwigający trumnę. Dalej bliżsi i dalsi członkowie rodziny zmarłego, sąsiedzi i przyjaciele pograżali się zazwyczaj w zwykłych pogawędkach

niepozbowionych żartów. Sądząc po wywieszanych często na ścianach klepsydrach, śmiertelność na Sri Lance należy do wyższych niż w naszym kraju, co nie dziwi zważywszy na trudny, tropikalny klimat i monotonną kuchnię pozbawioną wielu potrzebnych witamin (świeże owoce i warzywa są w niej rzadkością z uwagi na zbyt gorący klimat i ogromną liczbę insektów).

Gdy dotarliśmy z powrotem do teatru rozpadało się na dobre. Nie podobała mi się do końca atmosfera tego miejsca. Piękny, willowy budynek z charakterystyczną wieżą został odnowiony aż nazbyt gruntownie. Obsługa ubrana była w stroje kojarzące się z galerią handlową. Tłocząc się z młodymi Lankijkami pod wąskim zadaszeniem miałem wrażenie, iż bardzo biznesowe nastawienie dyrekcji psuje piękny nastrój wyprawy do teatru. Zmartwiłem się, iż teatr Elphinstone wkrótce czeka podobny los. Potrzebował wprawdzie remontu, lecz obawiałem się, iż wraz z odnową zaczarowany teatr straci kompletnie swój dawny nastrój.

Sztuka okazała się nie do końca udana. Nalin oczekiwał po niej wiele, miał to być bowiem triumfalny powrót na scenę legendarnego lankijskiego reżysera sprzed lat. Całość przypominała bardzo naiwną baśń stanowiącą ośnowę dla komedii zawierającej aktualne aluzje polityczne, była ona przy tym zaktualizowaną adaptacją sztuki sprzed 30 lat. Mieliśmy zatem smoka – tyrana i Lancelota, który wpierw kręcił się surrealistycznie przy owym smoku, aż wreszcie pobudzony do działania zagrożeniem jego ukochanej przystąpił do wiszącej w powietrzu przez pierwszą część dramatu walki. Ukochana miała na imię Liza i podobnie jak Lancelot ubrana była w stylizowany na średniowieczny strój. Nie wiedzieć czemu ojciec Lizy, wyglądający jak Piast Kołodziej z sumiastymi wąsami umiał powstrzymać smoka przed zabiciem zawczasu Lancelota, choć rycerz irytował potwora swoimi bezczelnymi wypowiedziami. Liza posiadała kota granego całkowicie żałośnie przez jakiegoś podstarzałego aktora. Sama Liza grała również jak na scenie

szkolnej, co rusz wskazując wyciągniętą jak maszt ręką osobę do której przemawia. Ciekawy był jej głos, dla wyraźniejszej dykcji stosujący, w przeciwieństwie do innych Syngalezów akcent melodyczny. Brzmiało to ładnie, ale osobom znającym ów język niezbyt to się podobało. Lancelot był jednocześnie reżyserem spektaklu i grał w sposób zrelaksowany, jak ktoś, kto zjawił się na scenie z zewnątrz. Ojciec Kołodziej grał normalnie. Smok natomiast był podwójny. Obok ładnie sporządzonego, wielkiego potwora, który rozpoczął spektakl przemieszczając swe wielkie cielsko przez całą widownię przy ciekawej muzyce i krzykach swoich ofiar, ze smoka wynurzał się jego ludzki odpowiednik, odegrany na szczęście bardzo dobrze przez znanego lankijskiego aktora. Podobało mi się, jak w chwilach gniewu smoka – człowieka podświetlona zostaje wielka kukła smoka i powiela jego gesty. Smokowi towarzyszyła też grupka tancerzy wykonujących fatalnie całkiem ciekawą w zamyśle choreografię. Smok miał dwóch doradców, jeden z nich był eleganckim lizusem, pełniącym funkcję swego rodzaju rzecznika prasowego, drugi zaś stanowił celowo przerysowaną żywą karykaturę, pełniąc funkcję wezyra przy smoku. Pierwsza część sztuki kończyła się walką Lancelota i smoka, oraz przejęciem władzy przez jego podwładnych, którzy okazali się dla ludu jeszcze gorsi niż sam smok. Lancelot nie rozprawił się z nimi, gdyż sądził iż Liza została zabita. Druga część sztuki zawierała mniej fabuły. Składała się z wymuszonego na Lizie ślubu z wezyrem, a teraz władcą, oraz z nagłej interwencji Lancelota i happy endu. Większość czasu drugiej części zajmowały obrazy zmuszania poddanych do podlizywania się władzy, oraz lęki wezyra związane z Lancelotem, który zdecydował się na ślub z piękną Lizą dopiero po tym, gdy wyciągnął od niej informację o tym, iż Lancelot zginął (bowiem tak sądziła Liza). Po zakończonej sztuce Nalin był zaszokowany słabą grą aktorów. Jedynie komiczny wezyr został zagrany znakomicie. Podobała mu się natomiast fabuła sztuki, gdyż zawierała ona śmiałe aluzje do rządzącego prezydenta, który to wciąż utrzymywał się przy władzy dzięki wygranej rok temu wojnie z Tamiłskimi Tygrysami i armii, której po owej wojnie

nie rozwiązał (tak przynajmniej sądzą moi przyjaciele, jak jest naprawdę, nie wiem). Prezydent Lanki przedłużył znacząco swoją kadencję zmieniając konstytucję kraju, jak także obsadził swoimi krewnymi wiele stanowisk w parlamencie i armii. Gdy rozmawiałem o tym później z Tushitą, posunął się on wręcz do stwierdzenia, iż ostateczne (jak wszyscy sądzą) stłamszenie Tamilskich Tygrysów pozbawiło wyspę jakiegokolwiek opozycji. Na Lance staram się być tylko obserwatorem, lecz zdziwiłem się po cichu, gdyż ciężko nazwać uzbrojonych separatystów twórczą opozycją polityczną. Można raczej mówić o potrzebie podziału Sri Lanki na dwa państwa, spowodowanej w dużej mierze złą polityką przedstawicieli syngaleskiej większości. Ponoć w parlamencie Tamiłowie mają odpowiednią ilościową reprezentację, ale wszyscy są całkowicie zgodni z panem prezydentem, co tłumaczą różne korupcyjne powiązania. Całkiem to możliwe, gdyż brak wzajemnej solidarności zawsze był straszliwą wadą Hindusów. Gdy wracając do domu mijaliśmy podświetlone w mroku pomniki obecnie rządzącego prezydenta, ciężko nie było zauważyć jego nieforemnej, wielkiej głowy, tak trafnie oddanej przez wezyra – karykaturę. Przy nader życzliwej ocenie fabuły „Smoka” przez lankijską publiczność zadziało z pewnością to samo zjawisko, co u nas przy sztukach Mrożka. Dopóki naszym krajem rządziła PZPR publiczność teatralna z zapałem podchwytywała każdą Mrożkową fabułę. Gdy jednak Związek Radziecki upadł, przestaliśmy się śmiać z Mrożkowego „nie lubię ruskich... pierogów”, zostały tylko fabuły, nie tak złe jak „Smok”, ale jednak przeważnie dość przeciętne.

Wciąż zastanawiam się, jak to jest z tymi Syngalezami i ich oceną bieżącej polityki. Słuchając moich przyjaciół aktorów mam wrażenie, jakbym żył w okupowanym kraju. Ale jednak wygląda to wszystko nieco inaczej. O ile Tamiłowie mają powody do smutku (zawinione również przez terroryzm Tamilskich Tygrysów), o tyle Sri Lankę trudno porównać z kolonialnym Cejlonem, czy z Polską usytuowaną za Żelazną Kurtyną. Całkiem możliwe, że rząd jest bardzo zły, politycy skorumpowani, a

nierówności społeczne ogromne. Jednak promuje się tu kulturę syngaleską i buddyzm, a poza chrześcijaninem Nalinem i rodziną pana młodego z Chilaw nie spotkałem jeszcze Syngaleza, który nie byłby buddystą... Frasniki Tushity świadczą o nim jak najlepiej, lecz przecież ludzie to ludzie. Przypuszczam, że poza środowiskiem młodych artystów – idealistów większość dominującej na wyspie nacji cieszy się z wygranej wojny i coraz bardziej syngaleskiego charakteru Lanki. Do teatrów chodzą tylko nieliczni i całkiem możliwe, iż zamiłowanie do dramatu wiąże się tu też z bardzo krytycznym sposobem myślenia.

(ciąg dalszy nastąpi)

[Przeczytaj inne rozdziały Dziennika indyjskiego](#)